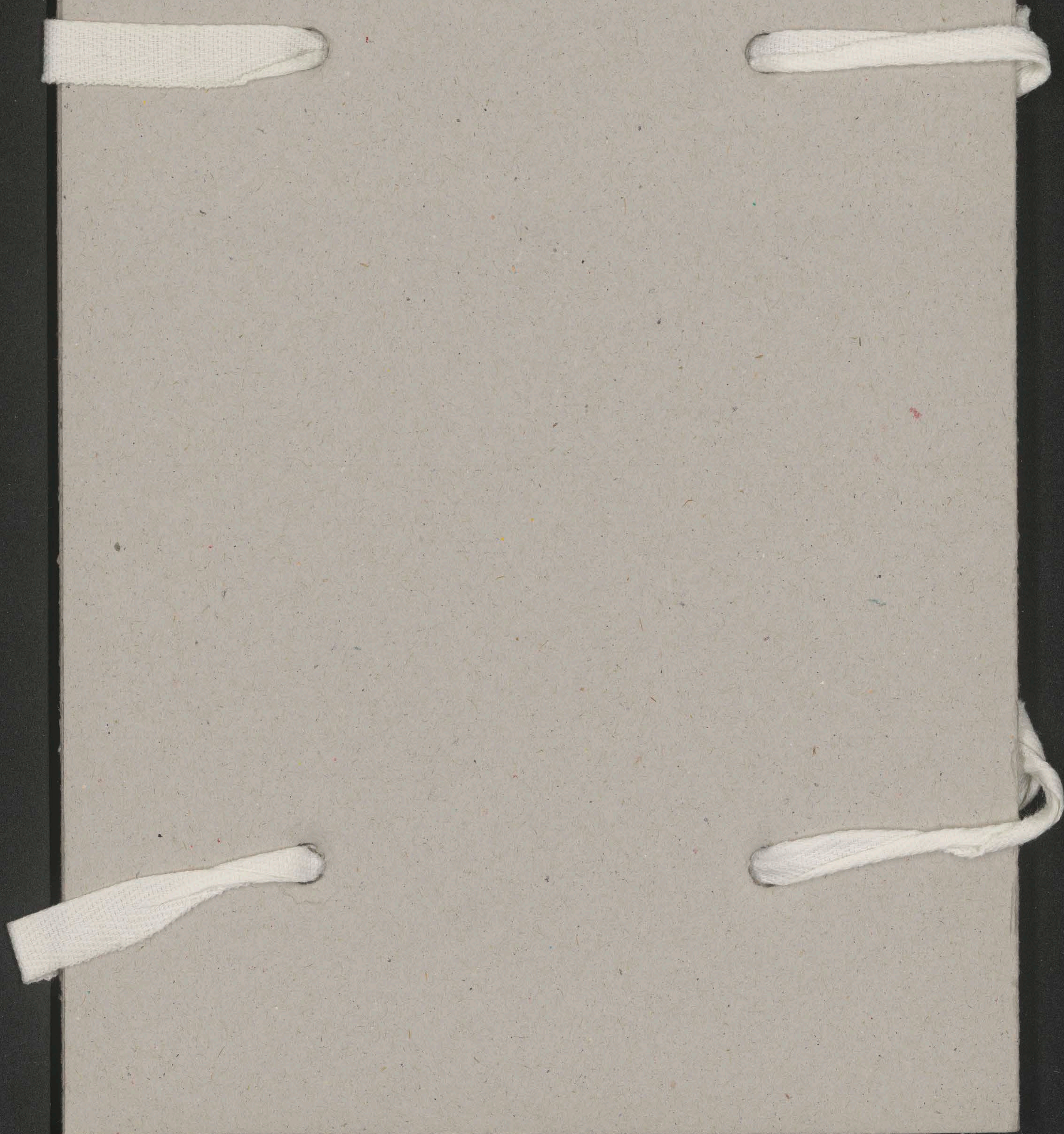
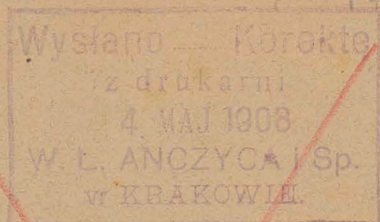




Wieczór lipcowy był — pogodny, ciepły
Księżyc nad pustkę wyszedł pełnią
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzepły,
Z poza stręczystych chmur
Które się jak baranki wełnią,
Zajrzał na moje osiedle...

Owiał mi duszę czar kochanych gór —
Tchuienie, o jakiem śnią prastare jedle.

W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Pustce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na dziwnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawną nutę...
Zadrgało serce, życiem strute —
I pod przemocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy...
Kiedy to jeszcze stały hrube lasy —
Kiedy we wierzchołkach drzew

Kołysały się orle gniazda —
Kiedy w uboczach rozlegał się śpiew
Niewolący i ucho i serce
W zlęknionej czarem pasterce...
Kiedy to długowłosy gazda,
Jak pniak zbutwiały, siwy,
W pasterskiej, dymnej kolebie,
Przy czasie słoty,
Gdy, jak mgły ciężkie, snują się tęsknoty,
Objawiał słowem różne cuda-dziwy,
Z wieści i sam ze siebie...
Kiedy to na słonecznych polanach
Życie kwitnęło młode —
Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
Dopieroż przy zabawie!
A śmiech, Pustota, w skwarnej tarzały się trawie,
Porwane przez swobodę...
I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
Pasterze woły spędzali
Zstępując z pola w gromadce honornej,
I na fujarkach grali....
A nuta szła w dół — na roztoki,
Na pola, mrokiem osnute...
I kiedym teraz usłyszał tę nutę,
Taki mię objął żal głęboki,
Bez dna, nieukojony,
Że łzom nie mogłem dać ustanku.
Coś we mnie wołało łkaniem: »Franku! Franku!
Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzez ten świat,
O którym tam na polanach śniłem —
Tyle ~~minionych~~ lat — straconych
Walczyłem o coś — żyłem — —

Oto powracam duszą, bólem strutą...
. . . .
O nuto! dawna, niepowrotna nuto!...



POŁUDNIE

Jasiek z Zarębków wygnał woły na wierch Ceski, na polanę rozkoszną, schyloną jedną połacią do słońca, ku południowi. Stało mu się w sercu wesoło, jak zawdy, gdy tu wyganiał. Śródpołuń był. Słonko wytoczyło się z poza Jaworzyny i stało prawie nad czołem Turbacza, ciskając światło w roztoki, które się aż zapoczęły mglić od tej białości.

Powiódł radosnemi oczyma dookoła po słonecznych wierchach, po zamglonem na zachodzie widmie Babiej Góry, i oparł się aż na północy o lackie niziny, które poprzez sieżogę, zbłękitniałe, wydawały się rąbkiem dalekiego morza. A coś w nich, niby igły wież złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu, że tam Kraków.

Dumą radosną porwany, zawiódł głośno:

»Hej!... jak ja se zaśpiewam
Na środku polany —
Ej — to mi odegrają
W Krakowie organy...«

Poleciało ku wierchom — zadźwięczało po bukowym lesie — rozjękło, rozniesło się po dalszych

uboczach — i Jaśkowi zdało się, że słyszy echa dobyte z niewidzianych dalekich organów. Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południowi w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś legł w słońcu na polanie i, sparty na łokciu, wygwizdywać sobie począł a kerpcem wytupywać jakąś melodyę. Po twarzy chodził mu uśmiech, niby kółka słoneczne, spadłe z gęstwy liści, a w oczach migotały ogniki lekkomyślne, zdrajce swawoli. Bo też jeno swawolne myśli mogły się plątać po tej pysznej głowie, nijaką troską nie ściężałej.

Właśnie przyszło mu na pamięć, jak to tu na tej polanie w dzień Matki Boskiej Zielnej prasnął Józkiem, co go zwią Harnym, o ziemię — w oczach Haźbiety, pasającej teraz owce w przeciwległej uboczy, na Suhorze. I jak Haźbieta śmiała się i potem już ani pojrzeć na Józka nie chciała.

Skąd mu sie wtedy telo tej siły nabrało? Przecie to chłop: jak i Józek. Od kiela roków wolaruje. A tak sie pysznił swoją siłą — widziało się, że niema nadeń harniejszego. I ukrócił go.

Przywodził na oczy całą tę walkę po szczególe: Jak się wzięli próbować za pasy, zrazu niby żartem, a potem i naprawdę. Haźbieta stała opodal i śmiała się. To mu dodało sił. Jak nie zawinie — jak nie siepnie nim — aż ziemia jękła. Spojrzał tryumfująco na Haźbietę — ta się dalej śmiała jeszcze serdeczniej.

»Hej — pociesenie moje
Kany sie obraca?
Popod Obidowiec
Owiecki nawraca...«

Zaśpiewał sobie wysokim półgłosem. I, przechylając głowę w tęsknem zamarzeniu, popatrzył w stronę Obidowca — ku Suhorze. Patrzał długo, aż mu mgłą zaszła ubocz — a miał ją w oczach, jak żywą, śmiejącą się, jak wtedy. Nagle zerwał się z ziemi.

— Cy je tyz jest? Cy tyz juz wygnała?...

Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył się bystro ku Suhorze. Lecz las zasłonił polanę — nie widać owiec, ani nic. Jakby się tu dowiedzieć... Stanął se mocno, sparł się pod bok, odkrzypnął i zawiodł głośno:

— Ou ho ho ho-ho... ho-ho-ho hu!

Zagrało potężnie — poniesło się ku przeciwległej uboczy.

Jasiek nadstawił ucha — nadsłuchował.

Niezadługo przywiało cienki głos z Suhory:

— U hu hu-hu!

Jest. Poznał jej głos odrazu. Uśmiechnął się jakby ją na oczy ujrzał. I z tej radości zawiódł:

— Hej!.. jak ja se zaśpiewam,
Jak ja se zawiede —
Usłysy mie dziewcę,
Choć najdali bede...

Mało mu się widziało — dodał:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam —
Puscę głos po lesie —
Pozna mie dziewcyna,
Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po uboczach — a skoro zcichło doznaku, przyleciało z Suhory:

— Hej!... wtedy ja cie wtedy
Chłopaku poznała,
Kiedyś bucki ścinał,
Ja owiecki gnała...

Jaśkiem aż zatrzęsło — jakby to wiatr dunął, nie melodya tęskliwa.

— Dyć tak było. Jak sie to zda i śpiewka...

I na oczach stanęły mu te liście bukowe, na których se ją przyniewolił, i te owce białe, które ich obstąpiły jako świadki...

Dużo miłośniej i jakby głosem nie swoim zaśpiewał:

— Hej!... powiedz-ze mi powiedz,
Moja kochanecko,
Z za wtorego wierchu
Wychodzi słonecko?

Jeszcze nie zgasły echa dźwięczne, gdy od Suhory przywiało:

— E jakże ja ci powiem,
Kie ja nie widziała —
Słonecko wschodziło,
To ja jesce spała...

Stojąc oparty na ciupadze, ustami rozchylonemi słowa miłe chwytał, i uczuł, jakoby ta melodya przyniesła mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał się za wołmi. Pasły się w kraju, w cieniu buczków, okalających polanę.

Legł na ziemi do słońca i począł sobie znowu zcicha przygwizdować — ale mu nie szło. Owładnęło nim zleniwienie, zwyczajne o tym czasie. Zauważył, gdy oczyma zmęczonymi dookoła włóczył, że i woły powolniej trawę skubią — jak odniechcenia.

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza ku Obidowcowi i stało prawie na południu. Nie grzało już, ale piekło jak płomień ogniska. Gorąco coraz większe się czyniło — skwar się w powietrzu wzmagał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na rozpalonej nalepie. Pomyślał, że dobrzeby było zniżyć się do cienia, ale ruszyć mu się nie chciało. Kapelusz jeno nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedzierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się zrazu tem światłem, bo rozmaite mu się przedstawiało: raz białe, raz żółte, raz czerwone... Myślał przytem:

— Taką cyrwoną spodnicę ma Haźbieta. Jak z poza bucków mignie, to jakby cary jakie. Co tyz to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca — jak pod urokiem. Włada go odchodziła. W gardle uczuł suchość dziwną — pragnienie nagłe, uprzykrzone — aż oddech tamowało. Dźwignął się na siedząco — popatrzył na świat — a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go coś przeinaczyło. Čzary istotne... Każda rzecz ta sama, a nie ta. Liście jakieś zieleńsze — trawy złocone — i światła, światła potoki — lić jasna...

Przetarł oczy. Woły leżą — żwiękują. Czy to naprawdę te woły?

Zdala dobiegło żałosne wołanie kani:: »piić«!

Dumał wstać — iść ku wodzie — ale źródło daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że w Potoku Skalistym jest agrest; późno dojrzewa— może już i dojrzał. Ale i tam nie blizko. Pragnienie by go odpadło, nimby doszedł.

Wyciągnął się z powrotem — gdy pragnienie przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie, w uboczy. Począł je w myśli rwać i smakować. Przypomniało mu się zaraz, jako to mu kiedyś Haźbieta przyniosła w podołku malin. Słodkie były... Począł wspominać to i insze — i obraz jej, jako żywy przedstawił mu się w oczach. Leżąc na mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmiechem, oczami i całą sobą rozkoszną...

Porwał się z ziemi — skoczył do kraju — zajął woły i miał je gnać ku Suhorze... ale pognał je na stronę północną — ku wodzie.

Napoił woły w studzience i sam się napił. Potem siadł koło studzienki, a woły się po młace pasły.

W cieniu nabrał rzeźkości — siły mu wróciły — dumał zatem, coby tu wymanić, bo mu się cnąć poczynało. Ścinałby buka, ale nie wziął ze sobą rąbanicy — ciupagą nic nie poradzi.

Wstał — rozprostował ręce, aż zachrzęściały w stawach — spróbował-by się z kim... Ale tu po tej stronie, widać, nikt nie pasie. Huknął w dół ku roztoce — nikt nie odpowiedział.

I znowu idąc z wołmi pomału pasęcy, wyszedł na wierch Ceski.

Słońce posunęło się nad Suhorę — śródwieczerz się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy tęskne ku Suhorze zwrócił, ale słońce nic nie dało widzieć. Zaledwie poprzez gęstwię wpływającego ku roztoce światła las smrekowy majaczył.

Naraz stamtąd przyleciał znany dobrze głos, jak wiater gorący z południa:

— Hej! przyjedź, Jasiu, przyjedź,
Abo przypłyń wodą —
E bo moje serdusko
Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

— Hej! podej-że mi rąckę
Na zieloną łąckę —

E podej-ze mi obie
Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przywiało od Suhory, ale dużo smętniej:

— Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
Moje ocka płacą —
Jak przydę ku tobie,
Owce sie potracą.

A on, jakby już dawno nosił w myśli radę, odśpiewał z potuchą mocną:

— Hej!... zezyń owce na dół,
Ja wołki zezynę —
Zejdziemy na dróżkę
Popod jaworzynę...

Gdy echa pocichły, nadsłuchował pilnie. Za chwilę dopiero ozwało się, jak granie najmilsze:

— Hej!... dyć to już śródwiecerz,
Minęło południe —
Kochaj mie, Jasieńku,
Ale nie obłudnie...

Roześmiał się serdecznie, jakby ją miał przed sobą — z miłością w oczach i z tem zastrzeżeniem. I głosem, w którym uśmiech drgał jeszcze, odśpiewał:

— E nie bój-ze sie, nie bój,
Dyć ja przecie nie zbój —
Nie zbój, nie zbójnicek,
Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze słów jakich nie przyśle. Za chwilę odzew jeno przypadł —

krótkie: »U-hu-hu-hu«! Zmiarkował po głosie, że mu je już z uboczy przesłała. »Zgania owce« — powiedział sobie radośnie. Czemprędzej zajął woły i gnał je w roztokę — naprzeciw. Z lasu już posłał odzew.

Przedarł się z wołami przez buczynę i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno pod nogami trzeszczały, i odzywało się niekiedy w głowicach drzew gruchanie gołębi.

Przechylił się na drugą stronę zboczą i posłał odzew Haźbiecie. Naraz, jakby w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew żałośliwy, cienki — od strony innej — ze Spalonego:

— Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choćby w ogniu lezał...

Dalsze słowa straciły się w żałości. Poznał odrazu głos Tekli, którą łońskiego roku na Spalonem, pasąc z nią woły, przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł dla Haźbiety.

Widząc, że go poznała z daleka po głosie, i że jemu tak śpiewa — odrzucił z pyszna swawolnie:

— Hej, dawniej tom cie widział
Bez dziesiątą ścianę —
Dzisiaj cie nie widzę,
Choć przy tobie stanę.

Na to przywiało ze Spalonego:

— Ej, pamiętaj se, Jasiu
Stanies na sąd boski —

Bedzie on ci, bedzie,
Mój wianecek gorzki...

Już nie odpowiedział. Natomiast wartko zawrócił woły i przesłonił się od tej strony zachyleniem leśnem. Gnał jakiś czas w milczeniu — o skoro widział, że się już dość od Spalonego oddalił — począł sobie przygwizdywać dla śmiałości serca i potuchy. Już też zbliżał się ku roztoce... Tu doleciał go — już z niedaleka — szukający go głos Haźbiety:

— Moje pociesenie
Na który jest stronie?
Cy na ty, co i ja,
Cy sie ze mną mija?...

. . . .
. . . .

Słonko już dobrze schowało się za wierch Tobołowa, i mrok zakradał się w roztoki, gdy w uboczy pod Suhorą zadźwięczało przy smętnem turlikaniu owiec:

— Hej!... juz sie zachmurało,
Kany świtać miało —
Juz moje kochanie
Z wiatrem poleciało...

A od Spalonego poniosło się żałośliwe śpiewanie ku Cesce:

— Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było —
Nie widziałabych cie,
Nie zal by mi było...

A Jasiek ze Zarębków gnał napasione woły ku kolebie i przygwizdywał sobie — po twarzy przebiegał mu uśmiech lekkomyślny, a w oczach migotały ogniki swawolne.



JAK JÓZUŚ CHCIAŁ, A JAK MU WYSZŁO

Józuś, Miecusiów syn, z pod hal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacyach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci: — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencyę nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej by się niczem nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słonka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła, przez matkę przynukany, poszedł, księdza proboszcza odwiedził — ale i to czynił bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno w jedzeniu dogodzić; jajeśnice mu co rano smażyła, za-

cierkę z białej mąki na mleku gotowała, poddawała mu, co mogła; i Józuś wnet stracił bladość przyniesioną z miasta, przybyło go na gębie, wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem jadle zwykły różne myśli przychodzić do głowy — więc i Józusiowi przyszła myśl: pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły mu się owce, siano, pasterki, śmiejące się takim śmiechem, który aż łaskocze... Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu — tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szałasy były na hali Chochołowskiej. Tam też Józuś poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie, bo znali go od mała — niejedno lato z nimi pasał. Po paru dniach oswoili się z nim, i Józuś wodził się z pasterzami, jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy wiatr zdmuchnie. Nie na marne też wyszły podbiady, dawane przez matkę. Ku pasterkom się z przyśmiechami zwracał — te zaś prześmiewały się z jego nauki.

— Tyle-ś casy w tych skołach był, i coz cie naucyli? Śpiewki-eś pozabacował...

— To se przybacę — starał się mówić w ich sposobie.

— Może w seminaryi? Tam by ci dali! Msę świętą kazą ci śpiewać...

— Coz to zawadza?

— A to, ze teraz ci juz o świeckich rzecach nie trza myśleć.

— Widzis, zebraku, ani na wesele nie bees mógł iść, ni na drużbę...

— A das mi, Józuś, ślub, jak księdzem ostanies?

— Dam ci, z jaką paradą! ino pockaj.

— A kie-z to bedzie? Za rok, dwa? Bo mi sie śpiesy.

— Coz ci tak pilno?

— Gadaj mu ta o tem, kie on juz jak ksiądz. — Jakze ty zebraku wytrzimies? Tak całe zycie bez grzychu...

— Haj? od cegoz gospodyni? — pytała insza.

— Kie Józuś ta nie taki... On juz dziś jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie wystrzydz...

— Wiera tyz bedzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób — pamiętaj, coby my sie wytańcyli...

Józuś wstydził się tego przyszłego księdzostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej prześmiechy począł ją śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józuś ośmielił się tak, że gdy jednego popołudnia przyostali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

— Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

— E? — przedrzeźniła — cozes taki ciekawy?

— Bo bych przysed ku tobie.

— To przydź — kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

— Naprawdę byś mnie przyjęna?

— Jakże? Dy nie na śpas...

I zaniesła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! — pomyślał sobie w radosnem źdźiwieniu — że ja też, głupi, nie wiedział...

Przez cały ten odwieczerz miejsca se nie mógł naleść z niecierpliwości krwi, myślą pokuśną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał —a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciele.

Nigdy dotąd podobnego uczucia niedoznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne — do »aniołów«; myślą bał się ich sukień dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznanej, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aże nostracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, lecz jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno...

I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józuś! czy ty nie zwaryjujesz pierwej! — mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej postać krzepką, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi prze-świecał, z iskrami oczu, z rzędami białych ząbków; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocze, i piersiach, wyraźnie wzdymających katankę we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach — odsłonionych.

Wyobraźnia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką — przy kopie — na sianie!... Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie wartem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało — widział — sensu. Po to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józuś i wieczerzy jeść nie mógł — telo szczęściem czuł sie napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwytał jej uśmiech każdoraźny, jej spojrzenia — chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozchodzić na spanie — każde do swoich kóp.

Józuś ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.

— Jakże bedzie?

— Z cem?

— Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?

— Jak fces — zaśmiała się. I, zaodziawszy chustkę, poszła na halę wyźnią, gdzie nocowywała.

Józuś został w kolebie, że starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.

— Pójdę wyjrzeć na miesiączek, czy wyszedł — rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłómaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Halą wyźnią nazywano skrawek równy w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całem ciałem, choć wieczór był ciepły — wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.

Skoro na halę wyszedł rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wychodzący ledwo rozwidniał polanę. Na środku stało kilka kóp. Poboku jednej dojrzał posłanie i chustę ciemną. Zbliżył sie z dygotem serca.

— To ty Jewciu? — szepnął, stając nad posłaniem.

— Ja. Coz fces?

— Przysedech ku tobie.

— To ląz.

Józuś czuł się, jakby go do nieba wpuścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł skraja, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho. Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością pozierał na Jewkę. Leżała na wznak, chustką owiniata, twarzą ku niebu.

W pobrzasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakąś inszą, poważną, prawie że surową. Onieśmielenie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzał w nią, tak w niebo wmyśloną.

— Gwiozda spadła... — szepnęła.

Józuś spojrzał na niebo za jej wzrokiem, i znów ku niej powrócił oczyma. Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak w febrze.

— Cy ci zimno? — spytała.

— Nie...

— Tak sie trzęsies. Może ci dać trok chustki?

Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.

— Cieplej ci?

— Cieplej.

— To śpij. Abo patrz na gwiozdy. Widzis, co ich hań... Jak iskry rozsiane. Większe i miejse, i mało co widne... O — jak sie mienią... Z cego one tyz bedą? nie wies? co? Jak was tam w skole ucyli?

— To są światy, takie, jak nasa ziemia...

— Głupi... światy... mniejse od śpilki.

— Bo daleko, to sie widzą małe.

— Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie.

Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józuś zaś nie miał ochoty wykładać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.

— To ucą, ze tak daleko... — rzekła po chwili.

— Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

— To śpij. Cy ja ci bronię? — odsunęła się — Mas doś miejsca.

— Kie ja chcę z tobą...

— Dyć ze mną śpis.

— Ale...

— Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józuś, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły zwężać — sen ją nachodził.

— Jewka...

— Co?

— Jewciu...

— Dyć słysę.

— Jewusiu...

— Coz ta jesce? Śpij, bo juz cas.

Józuś nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustę i sparł dłoń na jej piersiach. Nie broniła mu, spytała ino:

— Musis tu rękę kłaść? nie uśnies inacy?

A Józuś, czując pod palcami wzgórki ciepłe, wznoszące się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

— Lez spokojnie — rzekła ostro.

Ale Józuś już na nic nie dbał. Płomieniał cały pragnieniem. I śmiałości strasznej nabrał: Przecie go sama wołała... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. Objął ją mocno rękami i począł szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół pacierza. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smętla słabego.

— Coz tobie sie bazy, moi ludzie? To cie tego tam ucyli?! A spytałeś sie mie choć, cy cie kocham?

Poczem złagodziła nieco:

— Jakbych cie kochała, to co insego. Ale co ty wies o tem.

Józuś ledwo się osatał ze zdziwienia przykrego i z upokorzenia.

— To po co-ześ mie wołała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kazdy spać moze. Miejsca doś. I nikt nie broni... Ale widać juz, ześ miasto przesed... No ląz-ze, ląz — dodała pobłażliwie — nie smuć sie...

Ale Józuś ani myślał ostać. Porwał się w zło-

ści z posłania, poszedł po polanie aż na drugi koniec hali, tam długo siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro, Józuś, późnym już czasem wchodząc do koleby, skrzypnął drzwiami, Szymek stary podniósł kosmatą głowę z posłania i, rozespany, spytał:

— Jakoz ta ten miesiącek... wysed?



SCHRONISKO